



WIDNOKRAĆ

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
JAKO „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 23 (245)
Rok VI
12 VI 1966 r.

Zdzisław Kozioł

UWAGI PONIŻSZE, bez pretensji do wyczerpującego omówienia tematu, nasunęły mi się niejako na marginesie referatu wygłoszonego na konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR w Wyższej Szkole Inżynierskiej. Zawarte w nim oceny wnoszą nowe spojrzenie na wewnętrzne sprawy uczelni, które z wielu względów rzutują na jej pozycję w środowisku.

Różne aspekty szeroko pojętej kulturotwórczej roli uczelni rze-

tym wypadku organizacji partyjnej w szkole wyższej.

Szereg faktów, o których mowa w referacie, wskazuje, że praca społeczna nie zajmuje wysokiej lokaty we wspomnianej hierarchii. By uniknąć jednak nieporozumień, muszę przypomnieć, że nazwiska wielu pracowników naukowo-dydaktycznych, znane są poza uczelnią dzięki pracy społecznej, a głos przedstawicieli nauki liczy się w środowisku.

Potrąfią oni wiazać zadania dydaktyczne, naukowe i społeczne; niejeden z nich jest w trakcie pisanja dysertacji doktorskiej, inny zaś habilituje się, a pracy dydak-

tycznej zaadaptować się w nowych warunkach, przyswoić nowy styl pracy? Nienowym jest bynajmniej postulat współpracy szkoły średniej i uczelni, ale z realizacją różnie bywa. I czy to nie może być jednym z kierunków pracy społecznej?

Bardzo dużo uwagi poświęca Komitet Uczelniany organizacjom młodzieżowym, których działalność ocenia raczej krytycznie. Problemy nurtujące rzeszowskie środowiska studenckie stanowią w zasadzie temat sam dla siebie, wspomnę tylko, że zdaniem Komitetu Uczelnianego, aktywność społeczna studenta nie zawsze idzie w parze z osiąganymi przez niego wynikami studiów.

Nawet nie jeden członek czy kandydat partii opuszcza uczelnię przed jej ukończeniem. Jest to w moim przekonaniu istotny sygnał

Wojciech Kawiński

LOTNIK

*zestrzelony mur powietrza
układa się przez wargi i źrenice
stygnie na szorstki pył i wierność —*

*z gorzkiego ziarna lotnych liter
ziemi oddają lżę śmiertelną
i pociemniała nagle ciszę —*

*kto zna to niewypowiedzenie
sen zatrzęsnięty między wiatr i upał*

*odkryte jawne znieczulenie
--- dym czyste pole na części rozłupał ---*

CIEŃ SŁOWA

*Wierny nam będzie
(choć zapisany)
zimny od słowa
(i ciszą przewiany)
z rozciągniętą skórą
(od ciosu znaczenia)
z liściem na oczach
(który obraz zmienia)
Gorzki wiatry
(odcięty od lasu)
z kroplą wieczoru
(aż ją świt ugasi)*

*Wierny nam będzie
(we wnętrzu noszony)
ten szorstki owoc
(do samej obrony)
Przed oznaczeniem
(uzbrojoną ręką)
upadnie białe
rozsypane lekko*

W HIERARCHII WARTOŚCI...

szowskich były już tematem niejednego wystąpienia czy artykułu, rzadziej natomiast mówi się o wewnętrznych problemach społeczności akademickiej, która w tradycyjnych ośrodkach uchodzi często za ekskluzywną, zamkniętą. Faktycznie jednak jej związki ze społeczeństwem są bardzo silne; to, co się często uważa za wewnętrzne problemy uczelni, jest sprawą jak najbardziej interesującą opinię publiczną.

Jeden ze znanych polskich socjologów młodego pokolenia, Aleksander Matejko, w swym interesującym i nowatorskim studium o społecznych warunkach pracy twórczej, pisał:

„W zakresie stosunków w systemie społecznego uczelni ze środowiskiem zewnętrznym zaznacza się dwoiste sprzężenie. Uczelnia wpływa na środowisko rozmaitymi drogami: dostarcza społeczeństwu absolwentów, wzbogaca dorobek nauki za pośrednictwem swych reprezentantów, zajmuje publiczne stanowisko w rozmaitych sprawach. Jednocześnie uczelnia sama podlega różnym wpływom i naciskom ze strony instytucji i środowisk, od których zależy, z którymi styka się na co dzień”.

Zagadnienia te wymagają jednak szerszego potraktowania, moje zaś uwagi dotyczą niektórych problemów działalności organizacji partyjnej w środowisku akademickim, a przede wszystkim pracy społecznej — jej miejsca w hierarchii wartości uznawanych przez zespoły naukowe.

Komitet Uczelniany PZPR na tle osiągnięć WSI ukazuje słabe ogniska, usiłuje znaleźć przyczyny niewystarczającej aktywności oddziałów organizacji partyjnych, nieuczestniczenia w pracy społecznej wielu członków partii. Nie jest to referat „gładki”, nie daje z góry odpowiedzi na wiele spraw, nie skrywa zagadnień trudnych, ale skłania do poszukiwań, stawia na porządku dnia wiele ważnych problemów.

Tego rodzaju podejście jest godne uwagi, często bowiem niedomaganie traktuje się w kategoriach „winy i kary”, a tymczasem mamy do czynienia z wieloma obiektywnymi zjawiskami, których poznanie wymaga wszechstronnej i rzetelnej analizy.

Badania socjologiczne zespołów naukowych wykazują, że w hierarchii wartości przez nie uznawanych na czoło wysuwają się studia o charakterze teoretycznym, a wyniki w tym zakresie stanowią główną podstawę oceny i przydatności danego członka zespołu. Znacznie niższym prestiżem cieszy się w kręgach naukowych praca dydaktyczna oraz praca usługowa.

A jakie miejsce w tej hierarchii zajmuje działalność społeczna? Niestety, nie znane mi są wyniki badań prowadzone pod tym kątem widzenia. Zresztą samo pojęcie pracy społecznej nie jest dostatecznie sprecyzowane; np. w pracy wychowawczej niełatwo jest ustalić co zalicza się do pracy społecznej, a co należy do obowiązków służbowych. Sprawy te łączą się ze znacznie szerszym problemem, a mianowicie — rolą danej organizacji, w

tycznej nie ograniczają wyłącznie do przewidzianych planem zajęć. Czy działalność społeczna nie opóźnia rozwoju naukowego? Gdy pytanie to pozostawiłem młodemu naukowcowi, usłyszałem odpowiedź: „tak i nie; przeszkadza, bo pochłania sporo czasu, ale pomaga, bo bez znajomości ludzi i życia stałbym się mołem akademickim”. Opowiedział mi następnie o swoich spostrzeżeniach, snuł różne koncepcje powiązania uczelni ze środowiskiem z korzyścią dla obu stron. Np. powołał się na jednego z profesorów, który podczas ważnej narady poświęconej aktualnym problemom ekonomicznym wysunął kilka propozycji zmierzających do praktycznego zastosowania nauki.

Ukoronowaniem niejako tego rodzaju aktywności społecznej pracowników naukowych jest opracowanie — z inicjatywy Komitetu Uczelnianego PZPR — założeń programowych i kierunków działania Rady Przemysłowej, która koordynować będzie współpracę uczelni z przemysłem, stanie się ważnym czynnikiem postępu w szerokim tego słowa znaczeniu.

Przykłady można by mnożyć; nasuwa się jednak pytanie dlaczego w pracy społecznej, zwłaszcza na terenie uczelni, uczestniczy tak mało członków partii? Pytanie to stawiam dlatego, że podobne zjawisko obserwujemy w innych instytucjach i placówkach o charakterze twórczym. Czy metody pracy nie są dostosowane do zainteresowań członków partii? A może sylwetka tradycyjnego działacza społecznego, pełniącego różne funkcje, odstrasza wielu od podejmowania prac społecznych, których nadmiar utrudnia wykonywanie podstawowych obowiązków służbowych.

Towarzysze z WSI zastanawiają się nad możliwościami pogodzenia obowiązków służbowych, przede wszystkim pracy dydaktycznej i naukowej z działalnością społeczną. Komitet Uczelniany zwraca m. in. uwagę na konieczność równomiernego rozłożenia zajęć pozadydaktycznych, by nie spoczywały one wyłącznie na barkach wąskiego grona aktywistów.

Wylania się tu bardzo istotna kwestia, a mianowicie: umiejętnie dysponowanie czasem i energią wykształconych kadr jest sprawą o doniosłym znaczeniu społecznym. Chodzi głównie o to, by pracownik nauki otrzymał odpowiednio zadania społeczne. Jakże? To już problem dla samych środowisk akademickich i działających w nich organizacji partyjnych.

Nie będę szczegółowo omawiał programu działalności organizacji partyjnej w WSI. Poza inspirowaniem wspomnianego już oddziaływania uczelni na środowisko, na plan pierwszy wysuwają się zadania dydaktyczne. Choćbyż sprawa wyników nauczania. Największy odpad i odsiew ma miejsce na I i II roku studiów. Od dawna dyskutuje się o trudnej do przezwyciężenia barierze między szkołą średnią i wyższą; co robić, by pomóc mło-

dla aktywów partyjnych, ważny nie tylko z uwagi na sprawność kształcenia; mam na myśli moralne aspekty wspomnianego zjawiska.

Analiza tych zagadnień musi doprowadzić do rozważania rozległej problematyki działalności ideowo-wychowawczej wśród studiującej młodzieży, podstawowego kierunku pracy partyjnej. Sądzę, że w dalszym ciągu aktualne są tutaj wytyczne XI i XIII Plenum KC PZPR. I tę uwagę traktuję jako podsumowanie refleksji na marginesie referatu na konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR w rzeszowskiej WSI.

* Aleksander Matejko — „Społeczne warunki pracy twórczej”, W-wa 1965, s. 192.



FOTO: M. KOPEC

DNI ZIEMI STRYŻÓWSKIEJ

Powiat strzyżowski uboższy krewny zasobnych powiatów podkarpackich jest nie mniej od nich bogaty w uroki krajobrazu i tradycje kulturalne. Region rolniczy rozdronionych chłopskich gospodarstw, region o słabym przemysłowym osiągnięciu jednak dzięki pracowitości i ofiarności mieszkańców coraz wyższy poziom cywilizacyjny i kulturalny. Aktywny udział mieszkańców powiatu w czynach społecznych dynamicznie i mądrze tu się rozwijających przyniósł w efekcie wiele nowych dróg, szkół i obiektów kulturalnych. Dziś dociera komunikacja autobusowa do zabitych kiedyś deskami górskich wiosek, większość wsi jest zelektryfikowana i wyposażona w sprawnie i skutecznie działające ośrodki życia kul-

turalnego. W samym Strzyżowie, który oglądany z żarnowskiej góry wygląda jak miasteczko na dłoń, powstaje zakład przemysłowy — fabryka mebli. Zdynamizuje ona życie pięknego, lecz sennego miasta nad Wisłokiem.

Ma więc pełne prawo ziemia strzyżowska poszczycić się swym dorobkiem w 20-lecie Polski Ludowej.

W ramach obchodów Tysiąclecia strzyżowanie przez cały czerwiec br. będą święcić Dni Ziemi Strzyżowskiej wypełnione różnorodnymi imprezami i uroczystościami. Dni od 1—3 czerwca upłynęły na wzmożonym wysiłku w realizacji czynów społecznych. Budowano domy nauczyciela, remizy strażackie, drogi, porządkowano place i ulice.

W dalszym ciągu odbędzie się przegląd amatorskich zespołów artystycznych, wiele wystaw, spotkań z pisarzami i działaczami, koncertów, imprez sportowych i turystycznych. W dniu 14 bm. odbędzie się w Strzyżowie sesja popularnonaukowa na temat dziejów ziemi strzyżowskiej.

Mamy nadzieję jednak, że barwne i tętniące działalnością kulturalną Dni będą nie tylko podsumowaniem dotychczasowych osiągnięć. Stanowiąc będą również podniecie do dalszej „dobrej roboty” na tym terenie. Wytycza kierunek dalszej działalności zmierzającej do tego, by ziemia strzyżowska stawała się coraz zasobniejsza, gospodarniejsza i piękniejsza.

J. G.

Zbigniew Ziembowski

ALA HARAS KATON

W Klubie „Metalowiec” w Przemyslu odbywa się lekcja języka esperanto. Prowadzi Henryk Gąsiorowski. Przed każdym słuchaczem, podręcznik do nauki tego języka. Wykładowca rozkłada się nad jego komunikatywnością, zaletami, zasięgiem. Mówi jak ideolog, a nie belfer. By skaptować „wiernych” stawia im kawę, piącąc z własnej kieszeni.

Po takiej agitacji można zapalić się do nauki. Widzę to po sobie. Przyszedłem tu, by napisać o esperantystach, a tymczasem, korzystając ze słownika i posłyszanych przed chwilą zasad mowy, próbuję ułożyć zdanie: Ala ma kota. Kiluminutowy wysiłek zostaje uwieńczony powodzeniem — Ala haras katon. A może warto lepiej poznać esperanto...

Komplikacje wynikłe z różnorodności języków i trudności w porozumieniu się gnębią ludzkość od tysięcy lat. Nic też dziwnego, że od czasów najdawniejszych podejmowano setki prób (około 700), które zmierzały do stworzenia języka uniwersalnego.

Zdawać by się mogło, że najskuteczniejsze byłoby wybranie w tym celu jednego z języków naturalnych, żywych. Podejmowano takie próby. Służyła temu przez pewien czas łacina, greka, francuski. Uniwersalizacja języka narodowego doprowadzała jednak wcześniej lub później do uprzywilejowania jego ojczystego kraju, pomagała w zdobyciu hegemonii politycznej i gospodarczej. Poza tym języki naturalne są trudne do opanowania i tylko nieznaczna część społeczeństw ma warunki do ich gruntownego poznania. Wystarczy przypomnieć łacinę naszej staropolskiej szlachty lub późniejszą francuszczyznę magnatów i dorobkiewiczów.

W tej sytuacji zyskuje coraz więcej zwolenników pogląd, że język międzynarodowy winien być naturalny, łatwy do nauczenia, przyjemny dla ucha. Te trzy warunki spełnić może jednocześnie tylko język sztuczny, w przekonananiu esperantystów — język stworzony przez warszawskiego lekarza Ludwika Zamenhafa.

Na 44 Światowym Kongresie Esperantystów, który odbył się w 1959 roku w Warszawie pod patronatem premiera Józefa Cyrankiewicza — prezes Międzynarodowej Organizacji Esperantystów prof. dr Giorgio Canuto powiedział m. in.: „Polska dała światu trzech wspaniałych synów: Kopernika, Szopena i Zamenhafa. Pierwszy z nich otworzył ludzkości oczy i umysł na zjawiska, które codziennie wszyscy obserwowaliśmy, lecz mylnie je pojmowaliśmy, drugi otworzył uszy i dusze na słuchanie i odczuwanie wzruszających tonów muzyki, trzeci — usta i serca, aby ludzie mogli się porozumieć i żywić względem siebie braterskie uczucia.”

Już widzę na ustach czytelników tego artykułu ironiczny uśmiech: Kopernik, Szopen i... Zamenhof. Miejsce jednak na uwadze, że piszę ten artykuł będąc jeszcze pod wrażeniem argumentów Henryka Gąsiorowskiego i miłych rozmów z prze-

myskimi esperantystami, którzy są święcie przekonani, że zielona gwiazda Zamenhafa (symbol esperanta) zaczęła się dopiero wspinać na firmament wielkich tego świata.

Esperanto to nie tylko język, lecz w pewnym sensie idea przyjaźni ludzi i narodów. W ten sposób patrząc na niego zrozumiemy dlaczego działalność organizacji esperanckich była zabroniona w krajach faszystowskiej dyktatury, a więc w hitlerowskich Niemczech, Hiszpanii, Portu-

mi w wielu punktach globu ziemskiego, Bolesław Janusz z Niemcem, Węgrem, Senegalczykiem i Szwedem. Kilku młodych marzy o udaniu się w lipcu br. na Kongres Młodzieży Esperanckiej, który odbędzie się w Pecz (Węgry), a starsi już z całą pewnością pojadą grupowo na Światowy Kongres do Budapesztu (sierpień br.)

Krajowe związki esperantystów istnieją w 80 państwach. Ponadto działają esperanckie organizacje za-



Przemyscy esperantysty w Klubie Nauczyciela
FOT. J. WOJTCWICZ

gali. Führerom nie na rękę było i jest bratanie narodów. A przecież za zasługi na tym polu Międzynarodowa Organizacja Esperantystów została wyróżniona w specjalnej uchwale UNESCO.

Język esperanto ma tę wyższość nad innymi próbami tego rodzaju, że nie został wymyślony, lecz zbudowany na wzór innych języków, w oparciu o gruntowną znajomość ich budowy i zasad. Trzeba bowiem wiedzieć, że Zamenhof władał — dobrze 10 językami. Esperanto jest prosty, logiczny i w pełni oddaje wszystkie odcienie myśli ludzkiej. Spośród polskich pisarzy przetłumaczono na esperanto dzieła Mickiewicza, Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa. Interesujące jest, że np. „Martę” Orzeszkowej dopiero z esperanta przełożono na japoński, a „Faraona” na chiński. 3- do 4-miesięczny kurs daje taką samą umiejętność wladania esperantem, jaką zdobywa przeciętny uczeń gimnazjalny, po kilku latach nauki obcego języka. Jest to mocny atut. Uczestnicy licznie organizowanych w Przemyslu kursów (obecnie pracują 2 zespoły w Klubie „Metalowiec” i 1 w Technikum Łączności) oraz ci, którzy dobrze władają tym językiem, nawiązują kontakty z esperantystami w wielu krajach. Wspomniany wyżej Henryk Gąsiorowski koresponduje z Japończykiem, Brazylijczykiem, Włochem, małżeństwo Czesława i Kazimierz Żurawscy — z ok. 50 esperantystami mieszkający-

wodowe np. lekarzy, dziennikarzy, naukowców, prawników itp. Na świecie wychodzi ponad 100 tytułów prasy esperanckiej, 26 stacji nadaje regularnie audycje w tym języku. W największej bibliotece w Londynie znajduje się przeszło 30 000 tytułów książek tłumaczonych i oryginalnych ze wszystkich dziedzin nauki i sztuki. Do czynnych esperantystów należą takie sławy jak: O. Jespersen, M. Mülle, J. Baudoin i in. Z aprobatą o tym języku mówili: Lew Tolstoj, Maksym Gorki, Bernard Shaw, Romain Rolland, Julian Tuwim. Ten ostatni znał esperanto, tworzył w tym języku i tłumaczył na niego.

Do przemyskiego Klubu Nauczyciela przychodzi stale grono osób, by porozmawiać tu po esperancku i poczytać Herolda de Esperanto. Trzy lata temu było ich kilkoro, dziś stanowią liczne i aktywne środowisko. Zorganizowali oddział Polskiego Związku Esperantystów, którego prezesem jest Olga Skorska — nauczycielka Technikum Łączności, propagator esperanta wśród młodzieży.

Krzyżują się na świecie polemiki na temat esperanta, padają argumenty za i przeciw. Jedno jest jednak pewne — język ten żyje i służy milionom ludzi. Czy stanie się kiedyś w pełni międzynarodowy, pokaże przyszłość.

Ala haras katon, esperantysty — esperanto, a ja się do nich dołączę.

ZB. ZIEMBOLEWSKI

Z historii prasy w Rzeszowie

Muzeum Okręgowe zorganizowało z okazji Dni Rzeszowa bardzo interesującą wystawę. Obrazuje ona dzieje czasopiśmiennictwa i prasy w Rzeszowie od drugiej połowy XIX wieku do czasów dzisiejszych. Jak wynika z materiałów tu eksponowanych, Rzeszów posiadał własną drukarnię dopiero od roku 1840. Jej założycielem był Franciszek Skielski. Początki prasy rzeszowskiej łączy się jednak z drukarnią J. A. Pelara, zasłużonego księgarza i wydawcy. Później powstaje jeszcze drukarnia E. F. Araya, a pod koniec XIX wieku następuje — M. Golberga.

Pierwszym stałym czasopiśmie rzeszowskim, ukazującym się w drukarni Pelara był „Przegląd Rzeszowski” — dwutygodnik społeczno-ekonomiczny i literacki oraz „Kuryer Rzeszowski” — również dwutygodnik o tym samym charakterze. Ukazywały się one na przemian, tworząc w ten sposób tygodnik przez okres pięciu lat (1883—1888).

Także w roku 1883 zaczął się ukazywać „Tygodnik Rzeszowski” — czasopiśmiennie ekonomiczno-rolniczo-przemysłowe. Warto wspomnieć, że tygodnik otrzymał życzenie pomysłowego rozwoju i owocnej działalności od Józefa Kraszewskiego i zapowiedział stałą współpracę z piśmie Michała Bałuckiego.

W ogóle schyłek XIX i pierwsze lata XX w. stanowiły najwzrosty i najbujniejszy okres rozwoju prasy rzeszowskiej. Periodyki ówczesne mają na ogół dość długi, przeważnie kilkuletni żywot, ich poziom graficzny jest jak na pisma prowincjonalne wysoki, a ilość spora. Oprócz bowiem wymienionych wyżej ukazywały się również takie, jak: „Postęp” (organ poświęcony sprawom oświaty ludu żydowskiego), „Gazeta Rzeszowska” (1899—1900), „Tygodnik Rzeszowski” (1905, 1908—1909, 1910—1911) czy „Głos Rzeszowski”, najdłuższy ukazujący się w Rzeszowie tygodnik, bo od 1897 do 1920 roku.

Okres I wojny światowej i pierwsze lata powojenne stanowią, jak widać z wystawy wyrażną przerwę w prasowym ruchu wydawniczym Rzeszowa. W późniejszych latach

międzywojennych znów pojawia się dość duża ilość pism, lecz mają one charakter nietrwały, efemerydalny. Ich żywot nie trwa dłużej, niż jeden rok z wyjątkiem „Zewu Rzeszowa” — dwutygodnika ukazującego się w latach 1934—1938 i będącego organem kombatanów legionowych. Z pozostałych warto wymienić „Przyjaciela Chłopa” — organ PSL — Piast, „Gazetę Rzeszowską” i „Przegląd Rzeszowski” — nietrwałe pisma dla Żydów, wydawane po polsku, „Głos Zagłębia Rzeszowskiego” — dwutygodnik z okresu pewnego ożywienia ekonomicznego Rzeszowa wskutek inwestycji COP-u i powstały tuż przed samą wojną ozonowski „Przegląd Rzeszowski”, który zaczął się ukazywać w kwietniu 1939 r.

Szkoda, że nie udało się organizatorom wystawy zgromadzić konspiracyjnych piśmierek i biuletynów z okresu okupacji. Nietępliwie ukazywało się ich w Rzeszowie sporo, gdyż ruch oporu był tu aktywny.

Dzieje prasy rzeszowskiej w Polsce Ludowej rozpoczynają druki ulotne i także efemerydalne biuletyny i piśmiereka. Były to — „Biuletyn Reformy Rolnej” (ukazywał się w 1944 r. nieregularnie), „Peperowiec”, „Samopomoc Chłopska”, „Niwa” i „Gazeta Rzeszowska”. Dłuższą historię miał pierwszy powojenny dziennik, który pod nazwą „Dziennik Rzeszowski” ukazywał się od 1945—1947 r. Od roku 1949 zastąpiły go „Nowiny Rzeszowskie” — najdłuższy ukazująca się gazeta codzienna w dziejach rzeszowskiej prasy, bo przez okres 16 lat.

Wystawa przypominała nam również próby utworzenia w latach powojennych periodyków kulturalno-społecznych, a więc „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej” i „Ugory”. Jak wiadomo jednak próby te się nie powiodły. Wartościową ekspozycję zamyka „Widnokrąg” — od pięciu lat ukazujący się tygodnik społeczno-kulturalny, wychodzący razem z „Nowinami Rzeszowskimi”. Szkoda tylko, że nie pokazano „Nowin Tygodnia”, poprzednika „Widnokregu”.

(J. G.)

KONKURS

Teatr Ateneum w Warszawie przy udziale redakcji dzienników: Trybuna Ludu, Życie Warszawy, Sztandar Młodych i dwutygodnika Teatr organizuje doroczny VI Konkurs Debiutu Dramaturgicznego.

W konkursie mogą uczestniczyć jedynie autorzy, których sztuki nie były jeszcze nigdy wystawiane na zawodowych scenach teatralnych. Wykonania radiowe, telewizyjne, filmowe, ogłoszenie sztuki drukiem nie stanowią przeszkody do udziału w konkursie.

I nagroda wynosi 10 000 zł.

Sztuka nagrodzona będzie wystawiona na scenie Teatru Ateneum w sezonie 1966/67.

Sztuki opatrzone godłem (w zapieczętowanej kopercie należy podać nazwisko, imię i dokładny adres autora) należy nadsyłać pod adresem: Teatr Ateneum Warszawa, ul. Jaracza 2 „Konkurs debiutu”.

Termin nadsyłania sztuk upływa z dniem 30 września br.

Sztuki nadsyłane później będą automatycznie kierowane na następny VII Konkurs Debiutu Dramaturgicznego.

Ogłoszenie wyników VI Konkursu nastąpi dnia 2 stycznia 1967 r. Dokładnych informacji o konkursie udziela Sekretariat Literacki Teatru Ateneum (Warszawa, Jaracza 2).

TADEUSZ SOKÓŁ
STAROŚĆ
PRZYCHODZI
OPUSTOSZĄCĄ
ULICĄ?

A więc jestem już starą kobietą. W jakimś nieokreślonym stopniu — samotną. To mnie najbardziej dziwi i martwi. Po tylu latach, starości nie obawiałam się nigdy. Nawet nie myślałam o niej. Nie wiedziałam, że zjawia się wtedy, gdy człowiek zostaje sam, gdy przyjaciele przechodzą na drugą stronę ulicy, albo też nagle oglądają z zainteresowaniem rozkwitające malwy w ogródkach. Nie wiedziałam, że starość przychodzi opustoszałą ulicą, domami, do których nie chce wchodzić, wstydząc się wchodzić.

To miasteczko — wieś barwne, rozspiewane, straciło kolory, zszarzało. Tylko dzieci... ale już nie ptaki, nie kwiaty...

II
Mój dom? Nie tęskniłam za domem, za rodziną. Może trochę po studiach, kiedy ludzie w miasteczku — wsi oglądali się za mną, oceniali, taksowali, kiedy tombakowi młodzieńcy szepotali: — popatrz idzie ta sztywna z miasta. Szuka tramwaju. Wtedy czułam się obco, ale nie gorzko. O domu myślałam z przyzwyczajenia. A teraz znowu myślę. Matka mówiła: „— zgubisz się dziewczyno. Narobisz sobie nieszczęścia. Masz dom, pilnuj go dopóki nie zbudujesz swojego”. Ojciec mrugał do mnie: „— powiedz, przynajmniej. Przystojny? Bogaty?” — A ja chciałam być już poza tym domem, gdzie matkę

nie łączyło z ojcem, a ojciec uganiał się za spódniczkami, pomadował włosy i grał rolę amanta w poraż się Boże nocnych lokalach. I odeszłam. Tak, prawda, to była ucieczka. Ale w miasteczku po tygodniu zyskałam już przyjaciela. Irena — kierowniczką świetlicy wciągnęła mnie do zespołu. Recytowałam, śpiewałam, tańczyłam, grałam rolę kota i dziewcząt z dobrego domu.

Do mojej biblioteki... Właśnie. Do mojej, bo została bibliotekarką. A więc do mojej biblioteki, zajmującej wówczas jeden pokój na strychu przyzium, zaczęli przychodzić ludzie. Ach, szkoda wspominać. Te akcje rozczytywania. Ta walka o lokal, o prawdziwą bibliotekę. Ci z rady kłócili się ze mną. Wzywali od aspołecznych jednostek, ale w końcu przegrywali. Otrzymałam 5-pokojowy lokal i trzy etaty. Rozumiem, rozumiałam... gdyby nie Irena — już wtedy musiałabym zwinąć manatki i wracać. Właśnie, wracać. Myślę teraz o domu. Ojciec już stary i matka. Tak dawno od nich odeszłam.

III

On był wysoki, czarny. Mówili na niego Cygan. Kiedy pierwszy raz wszedł do świetlicy — śpiewał. Przestrzegali mnie, Irena zwołała cały aktyw. Mówili tylko o nim, że bandyta, że nożem pokrajał w bójce człowieka, że dwa lata siedział w więzieniu, dalej zbój, że wpędza matkę do grobu. I po co to było. Kłękał. Przysięgał. Uwierzyłam.



rys. J. SIENKIEWICZ

S
I
E
M
I
O
N



C
Z
Ł
O
W
I
E
K

Tak mi się przedstawił, nie wiedząc pewnie, że wymyślił w tym momencie tytuł rozmowy. Niewysoki, skupiony, uważnie słuchający. Właśnie s ł u c h a j ą c y przede wszystkim. Znany i tak bardzo lubiany, że gdybym miała wybierać najmilszego aktora Spotkań Teatralnych — nie miałabym żadnego kłopotu. Aktor tak bardzo polski, w tym znaczeniu polszczyzny wędrującej pod strzechy, autentycznie tkwiący w folklorze i żerujący na jego skarbach — wszechstronny. Właściwie wie się o nim więcej, niż sam mógłby powiedzieć o sobie, niż sam chciałby powiedzieć.

— Skąd się wzięło to wzajemne zakochanie Pana i Rzeszowszczyzny; gdzie się zaczęła Pana z nią przyjaźń?

— Może wtedy, w 1954 roku, kiedy wędrował po niezagospodarowanych Bieszczadach, może gdy przyjechał z „Wieżą malowaną”, może gdy był u przyjaciół w Mielcu, Stalowej Woli... A może wcześniej, gdy zacząłem piękną przyjaźń z Piętkiem i Machem; gdy, czytając „Gobelin spod Bieczy” Białoszewskiego, rozmyślałem nad lemkowskią elegiami Harysymowicza? Tu jest klimat tak niepowtarzalny, jedyny i autentyczny, jak w żadnym innym kącie kraju; tu się chce wracać i wraca się ciągle niesytym pejzażu i ludźmi. Ludzie mnie zawsze zdumiewają. Lubie ich słuchać, lubie z nimi rozmawiać i jeżeli przyjemnością było moje spotkanie ze studentami WSP dla nich, kiedyś zmęczony po spektaklu siedział z nimi do późnej nocy — to dla mnie też to było święto.

— Czeka Pan więc na te rozmowy; szuka rozmówców? O czym mówicie? Jak rodzi się porozumienie?

— Tylko takie rozmowy mają sens. Właśnie o poezji, muzyce, sztuce. Mówimy wszyscy. Kiedy ktoś nie rozumie mnie, korzystam z pięknej sztuki powtarzania aż do skutku. a skutkiem w tym wypadku jest dotarcie do człowieka. Jak to przekazuje? — Sobą samym. Porozumienie zawsze się osiąga za pomocą całego człowieka...

— Chyba wielką przyjemnością była dla Pana, jako aktora „Historia o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” i bardzo bym chciała u-

słyszeć, jak Pan budował tę przewrotność chrystusową; tę niewinną pozornie przewrotność, na której dnie dostrzegam groźbę i wiele niepokojów.

— Widzi pani, i jako Jezus, załatwiałem swoje prywatne rzeczy dla tych prostych przyczyn, że była to moja własna demaskacja Boga. Piękna rola. Zresztą dużo jest pięknych ról...

— Chyba tak. Ten nastrój autentycznych spraw, ile razy tu jestem — wędruje za mną; a może ja go szukam? Byłem dziś u Józefa Ptaka z Łaki, tego rysownika; słuchałem go i milczałem, bo milczenie też rodzi jedno z najlepszych porozumień. Jak nie zachwycać się wykonawcami ludowymi, którzy grają, śpiewają, tańczą, bają?

— Z tym entuzjazmem dla nich, pewnie wspominają Pana zawsze serdecznie? Pewnie dużo przyjaciół zostawia Pan wśród nich?

— Dużo przyjaciół mam wszędzie. Do niektórych chciałbym przyjechać i coś dla nich zrobić. Myślę w tej chwili o mieleckich przyjaciółach, z amatorskiego zespołu teatralnego (bo bardzo dawno się znamy), i mam pewność, że uda mi się wspólnie z nimi pokazać „Słowo o Jakubie Szeli”, nowe, w odmiennym kształcie teatralnym. To byłaby bardzo po-

*Czytelnikom „Widnokrągu”
migdy którymi, mam
nadzieję, znajdę się moi
Przyjaciele i Rozmówcy
Rzeszowscy
z przyjaźnią
Wojciech Siemion*
7 VI. 66

— Ta jednak szczególnie pobrzmięła wam w nas. W regionie słynnym z nalnych świątków Wasze misterium stanowiło pendant do niepowtarzalnego klimatu.

ważna praca, gdzie chciałbym formy wyrażania wiersza zestroić z działaniem tańca, z ruchem rytmiczno-baletowym; przeprowadzić nowatorstwo w warstwie dźwiękowo-pojęciowej.

— A więc powróty nieustannie do nas?

— Tak — smak tych powrotów jest dobry. Chętnie zagrałbym na waszej Małej Scenie np. „Oskarżonych” Jareckiego. Chętnie przyjechałbym z tym montażem we wrześniu i to nawet na kilka dni. Myślę, że 5 spektakli w Rzeszowie publiczność by oglądała, nie sądzi Pani?

— Czy ja nie sądzę? Jestem przekonana! Co więcej — marzy mi się przecież dla Małej Sceny taka okazja. I powiem o niej publiczności z przekonaniem, że we wrześniu spotkamy się na p e w n o.

Siedzę w garderobie przed lustrem Machowskiego; obok Wojciech Siemion maluje rumieńce Fillusa. Ma już na sobie grzebne porcieta i przeważnie kosztowne powrozem; kompletuje maquillage wymyślnymi clapkami. W głośniku małe wróżki... Zmartwychwstania. Piotr i Dejmek — syn, w baranym kubraku naj. młodszego Bezebuba wyznaje, że będzie reżyserem. Nawet nie dziwi ten bakcył teatru u chłopczyka, który od 4 lat przy boku wujka Siemiona i ojca — reżysera grywa w „Historii”. Na Siemiona już czas. Za chwilę wpadnie na scenę wesołek, który zamierzył przeprowadzić własną demaskację Boga poprzez najbardziej celną broń człowieka — śmiech.

Z WOJCIECHEM SIEMIONEM rozmawiała KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

Wierzyłam nawet wtedy, kiedy z powiatu przyjechał kierownik. Chciało mi się zwolnić z pracy. Nie zwolniono. Kobiety ujęły się za mną. A on wyjechał. Nagle bez słowa. Czekałam miesiąc. Czekałam, czekałam. Wypaliła się miłość. Wróciłam do zespołu. Znowu śpiewałam, tańczyłam, grałam panny z pożądanego domu i kokoty. Ten sam kierownik, który chciał mnie usunąć z pracy wręczył mi nagrodę. Później tych nagród było coraz więcej.

Usługę opiekunki zajęły się swatami. Śmiałam się. Mówiono: „— Ona nie może zapomnieć tamtego”. Zapomniałam. Przystałam już nawet gryźć poduszkę nocami. Zyla biblioteką.

IV

Lubię ludzi. Obronili mnie, kiedy byłam dziewczyną. Dopiero po paru latach zrozumiałam sprawiedliwość ludu. Nie dali mi skrzywdzić. Te proste słowa na zebraniu, proste i celne, pokazały mi ludzi naszego miasteczka — wsi i kazały kochać te wrzaskliwe na co dzień gosposie i mruklących staruchów.

A dzisiaj stałam się obca. Ja wiem. Oni się boją. Mogłam walczyć o bibliotekę, mogłam walczyć o kulturę, oświatę, książkę, ale nie mogłam, tego nie rozumieją, jak mogłam walczyć nie o coś, a z czymś.

Poszło o posadę. Przyszedł do mnie nasz szkolny. Powiedział. Helena ma zostać waszą zastępczynią w biblio-

tece. Helena... Nie wiecie, nie znacie Heleny. Nie zgodziłam się. Nie chciałam Heleny. Wtedy szkolny wpadł w szal. Nawymyślał mi od ostatnich. Przypomnił Cygana. Zagroził zwolnieniem. Nie ugięłam się. Nie chciałam Heleny.

Przyszło zwolnienie. Leży przede mną. Zwolnienie z trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Pieczęć i podpis. Moje dziewczęta chodzą na palcach. Do biblioteki, jeżeli ktoś zajrzy, to zaraz ucieka. Wiem szkolny i sekretarz, i przewodniczący to jedno ramię, jedna pięść. Ktoś tam ponoć był z województwa w mojej sprawie. Nie chciało z nim rozmawiać.

Stałam się czarną owcą w miasteczku — wsi. Ulice pustoszeją przede mną. Tylko dzieci, ale nie ptaki, nie kwiaty.

Po tylu latach trzeba zrozumieć, że gniazda, domu nie można budować wśród obcych.

V

A jednak zostaję. Wymówienie cofnięto. Jest mi jakoś dziwnie. Nie jestem szczęśliwa, chociaż przyznano mi wysokie odznaczenie państwowe. Ludzie w miasteczku — wsi, jak gdyby dalej bał się mnie, omijają. Wczoraj spotkałam szkolnego. Gdyby oczami mógł palić — spaliłby mnie na popiół. I jeszcze jedno. Coraz częściej liczą lata do emerytury. Nikt mi nie wróci młodości.

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

SEJMIK

W ubiegłą niedzielę odbył się sejmik Towarzystw Naukowych i Twórczych z terenu miasta Rzeszowa, zorganizowany przez Komisję Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej i pomysły jako impreza kończąca tegoroczne Dni Rzeszowa. Przygotowywany na dugo przed Dniami, niestety, nie zgromadził zbyt wielu uczestników, tym samym interesujące projekty i propozycje nie mogły nabrać mocy wiążących uchwał. A usłyszeliśmy ich sporo i to takich, które warto byłoby zrealizować w najbliższej przyszłości.

Działające w Rzeszowie towarzystwa naukowe i twórcze mają na pewno duży dorobek; naturalnie niektóre z nich są jeszcze nieokreślane, niektóre wymagają zmian strukturalnych, niektóre powołano do życia nawet przez zarządzenia administracyjne, by w konkretnym środowisku uporządkowały problemy i zagadnienia je nurtujące. (Mam tu na myśli powstałe w 1962 roku Towarzystwo Muzyczne, które zorganizowało ponad 40 istniejących na terenie Rzeszowszczyzny ognisk muzycznych).

W jakimś ogólnym skrócie można by te towarzystwa podzielić na 3 grupy: a więc towarzystwa samodzielne, rzeszowskie, do których zalicza się jedno z najpoważniej działających i najwięcej znanych — Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki, wspomniane już Towarzystwo Muzyczne, które zamierza przekształcić się w Rzeszowskie Towarzystwo Ognisk Artystycznych, co pozwoli rozszerzyć jego działalność poza zespoły baletowe, plastyczne i wszelkich innych zainteresowań artystycznych oraz powstałe przed Rokiem Towarzystwo Śpiewacze „Orfeusz”, którego działalność ogranicza się do tej pory do podtrzymania istniejącego chóru przy Państwowej Orkiestrze Symfonicznej.

Do drugiej grupy towarzystw należą rzeszowskie oddziały ogólnopolskich: a więc jeden z najliczniejszych, najstarszych i najwyżej pracujących Oddział Towarzystwa Historycznego, organizujący cykliczne formy odczytowe, a nawet prowadzący sporadyczną działalność wydawniczą, z takim bestsellerem na swoim koncie jak „Pięć wieków Rzeszowa”. Oddział Polskiego Towarzystwa Archeologicznego, mogący się poszczycić ciekawymi wykopaliskami z terenu miasta oraz wydaną pracą Kazimierza Moskwy — „Pradzieje powiatu rzeszowskiego”, Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, które w czasie dziesięcioletniej działalności zorganizowało cały szereg sesji, spotkań, seminariów, związków silnie z regionem (sesja „Tradycje kulturalne Rzeszowszczyzny”, czy ostatnia, poświęcona Wilhelmowi Machowi), wreszcie wypada wspomnieć o najmłodszym Oddziale Towarzystwa Geograficznego.

W trzeciej grupie plasują się wszystkie związki twórcze SPATIF, ZPAP, SARP, SDP i inne zrzeszenia, jak choćby Stowarzyszenie Bibliotekarzy i Książarzy.

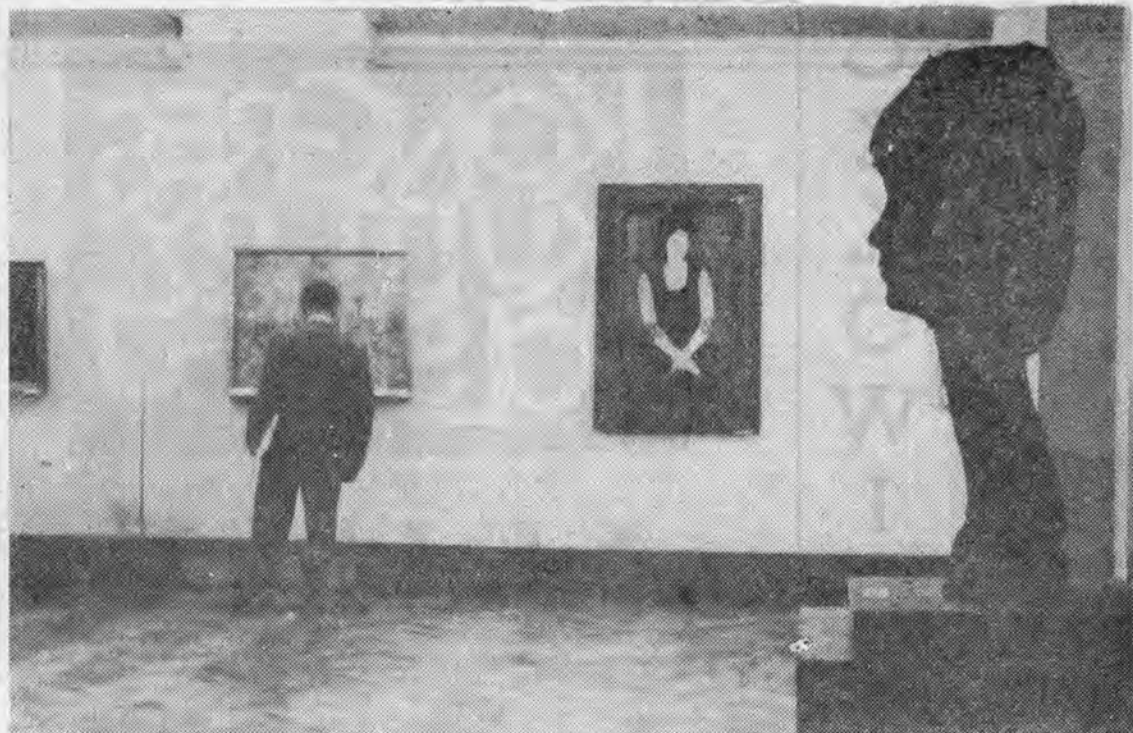
Trzeba byłoby także wspomnieć tutaj o roli w dziedzinie upowszechniania Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, które dysponuje dziś szeregiem interesujących prelegentów i jest w zasadzie od strony organizacyjnej towarzystwem całkowicie samodzielnym i dojrzałym, charakteryzującym się przy tym ogromem zainteresowań; zainteresowań społecznych jak najszerzej pojętych.

Rola majowego sejmiku miała polegać przede wszystkim na szeroko pojętej prezentacji towarzystw w środowisku rzeszowskim, na podjęciu konkretnych uchwał, dotyczących ich działalności, na zastanowieniu się nad najistotniejszym zagadnieniem — koordynacją ich pracy i wzajemnych powiązań. Nie pierwszy raz bowiem dostrzegaliśmy potrzebę powołania rady koordynacyjnej, z którą łączy się sprawa programowania zakresu i kierunku badań naukowych, upowszechnienia wyników tych badań przez akcję odczytów, bardziej rytmiczną akcję wydawniczą oraz uporządkowania spraw finansowych. Są to na pewno problemy bardzo istotne i tak pomyślane sejmik mógł przynieść wiele rozwiązań i propozycji. Rozwiązania konkretnych, niestety, dać nie mógł tylko i wyłącznie dlatego, że przebiegały te obrady w atmosferze za nadto kameralnej, że towarzystwa, poza historycznym, były reprezentowane przez niewielką ilość swoich członków, że nieobecni byli przedstawiciele związków twórczych.

Natomiast padło szereg interesujących propozycji, które na pewno są warte realizacji i nieobejmuje dla przyszłego rozwoju towarzystw.

Do najważniejszych zaliczyć by trzeba tę o zmianie struktury Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, poszerzonego w tym roku o 30 członków z rzeszowskiej WSP, które w przyszłości podzieli się na wydziały: humanistyczny, matematyczno-przyrodniczy i nauk technicznych, skupiające specjalistów poszczególnych nauk, które poszerzy swoje plany wydawnicze o regionie i dla regionu, które planuje przypuszczenie ataku na instytucje jako czynnik wspierający, które wreszcie kładzie nacisk na zbiorowe działanie, inicjatywy planowane i zupełnie poważnie chce zająć pozycję czołową wśród reszty istniejących towarzystw. Dopomoże mu w tym na pewno „Kwartalnik Rzeszowski”, którego pierwszy numer ukazuje się już w połowie czerwca i będzie zawierał liczne prace związane z Rzeszowszczyzną.

W przeddzień walnego zjazdu, członkowie TPNIS wysuwają propozycję ograniczenia jego nazwy tylko do Towarzystwa Przyjaciół Nauki, gdyż wychodzą z założenia, że dotychczasowa minimalna działalność twórcza (by nie powiedzieć żadna) sugeruje takie właśnie rozwiązanie. Trudno nie dostrzec w tym jakichś racji, którym zresztą pomogła nieobecność reprezentantów związków twórczych; istnieje wszakże zupełnie realna obawa, że po tej reorganizacji zniknie jakkolwiek możliwość kontaktów w Rzeszowie dla miłośników sztuki. Zniknie, przynajmniej do momentu, kiedy nie powstanie samodzielnie działające Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Czy akurat nadszedł czas jego powołania do życia — trudno stwierdzić. Wiemy tylko, że miało na pewno skupia wielu ludzi sztuką zainteresowanych i że rysuje się konieczność uwzględnienia tych zainteresowań w sposób zupełnie realny — poprzez towarzystwo właśnie. Czy dotychczas istniejące TPNIS, czy nowo powstałe w najbliższej przyszłości — rzecz jest do dyskusji i winna zostać rozstrzygnięta z wielką atencją właśnie podczas zjazdu i przy współudziale przede wszystkim samych twórców, których nieobecność na majowym sejmiku trzeba uważać za wielkie przewinięcie K. S.



WYSTAWA W DOMU SZUKI

W rzeszowskim Domu Sztuki otwarto niedawno z okazji Dni Rzeszowa wystawę malarstwa, rzeźby i grafiki rzeszowskiego okręgu ZPAP. Ekspozowano na niej 54 prace 22 autorów — w tym 27 prac malarskich, 20 grafik i 7 rzeźb. Otwarcie wystawy Biuro Wystaw Artystycznych połączyło z imprezą literacką, Klub Literacki bowiem w Rzeszowie współdziałał w organizowaniu wystawy. W kawiarence Domu Sztuki recytowano wiersze dziewięciu młodych poetów rzeszowskich, które uprzednio zostały wydrukowane w katalogu wystawy wraz z reprodukcjami prac plastycznych.

Fot. M. KOPEĆ

Ryszard Bilski

GOSPODARZ WIELKIEJ DEKLARACJI

Wchodzimy do dużej, jasnej izby... dalej do pokoju gościnnego. Gospodarz, Władysław Mozdzeń nie czekając na oficjalne wstępy podszedł do kredensu i z jednej z szuflad wyjął zeszyt mocno już sfatygowany z poślizniętymi kartkami i zatarł tym miejscami piórem. Sporządzone na gorąco zapiski z życia Koła „Wici”, własne wnioski (niektóre mają nawet posmak filozoficznych rozważań) to widać dla niego największy skarb. Chcąc nie chcąc musiałem posłuchać również i Mozdzeniowej filozofii, gdyż po prostu zaczął wszystko ciurkiem czytać, chyba dlatego, bym przypadkiem nie odważył się poprosić o zeszyt. Strzeżę go jak zrenicy w oku.

30 lat temu Kraczkowa zapisała się na trwałe w historii walk młodzieży o wyzwolenie społeczne, a niepoślednie znaczenie miał w tym wydarzeniu... dom Mozdżenia, w którym to właśnie Zarząd Wojewódzki Lwowski Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” przyjął Deklarację Praw Młodego Pokolenia Polski.

Dziś Mozdzeń mieszka w nowym domu. Budował go po kryjomu w czasie okupacji, wbrew wyraźnemu zakazowi. Wcześniej przez wiele lat sam wypalał i gromadził cegły. Zainteresowały się tym władze i oskarżono go, że sprzedał 6 tysięcy sztuk cegieł chłopom.

— Nie 6 tysięcy, lecz 9 sprzedałem — powiedział na rozprawie w Sądzie... bo pracowity gospodarz za cegły, którą sprzeda powinien sobie dom postawić.

Wróćmy pamięcią do roku 1935. W Kraczkowej miał się odbyć kurs dla członków kół „Wici”. Zgłosiło się nań 160 osób. Przybyli z daleka; wyrobniicy, bezrolni i bezrobotni. Brnęli w zaspach podczas 20-stopniowego mrozu; z tobołkami pod pachą, plecakami, w których oprócz chleba i miodu były ziemniaki i sól. Wszystkim przyświecała jedna myśl — pragnienie zdobycia wiedzy. Trud, poniewierka — to nieważne.

Dom Ludowy — miejsce kursu otoczyła policja wypełniająca wolę śląskiego starosty. Niewiele wskózniała egagacja młodzieży, która udawała się natychmiast do Łańcuta. Starosta zrodził się jedynie na odbycie zebrania organizacyjnego. Ale słowa nie dotrzymał. Sześciu policjantów nadal strzegło wejścia do budynku.

To już było za wiele. Młodzież zaczęła się buntować. W dość prosty sposób wykiwno policjantów; podczas kiedy klóczyli się z nimi dziewczęta, chłopcy po strażackiej drabinie dostali się z drugiej strony domu do sali. Otwarto drzwi od wewnątrz i zaskoczonych policjantów przywitano śpiewem: „Nie damy się”, „O cześć wam panowie magnaci”.

Wkrótce przybył komisarz policji z Łańcuta wraz z referentem starostwa i policjantami. Zarządzono

śledztwo. Oto jak relacjonuje jego przebieg pisarz Jan Wiktor:

„... I tych sponiewieranych, udręczonych, głodnych w progu powitało pismo zakazujące Zarządowi Związku Młodzieży urzędzenia w Kraczkowej kursu na tematy ogólnokształcące. (...) Młodzież nie chciała ustąpić. Trzeba wysłać depechę do Lwowa i do Warszawy. Zbierają składkę. Wyłuskują zaśnieżone groszaki, nielówki, ze szmatek, z węzłków, z torebek. Widzę spracowane palce mozolące się długo. Sypały się groszaki jakby krople potu zmieniane w dźwięk. Może w domu trzeba na zapałki, na sól... Ale o chotnie dawali. Nie ustąpią stąd aż odpowiedź z Warszawy nadejdzie. (...) Postacie ich pełne godności. (...) Wyciągali suchy chleb i flaszki zimnego mleka. (...) Rozmawiam z referentem jakiegoś urzędu powiatowego, pytam: „Dlaczego nie popozwalają na odbycie kursu?”. Słyszę: „Mogliby mówić o sprawach politycznych”. (...) Zebrani zupełnie nie zwracają uwagi na naszą rozmowę, na zaczajone groźby. Izba oddychała pieśnią, żyła nią, śpiewając 160 głosami, jakby płomieniami wytarganymi z piersi”. (Jan Wiktor „Błogosławiony chleb ziemi czarnej” Książnica Atlas. Lwów — Warszawa, 1939).

Kurs się nie odbył, ale na posiedzeniu Zarządu „Wici” w domu Mozdżenia przyjęto Deklarację Praw Młodego Pokolenia Polski.

— Nastąpiło wówczas także zaprzysiężenie łączników dla organizowania i prowadzenia strajków — wspomina Mozdzeń. Treść tej przysięgi zapisałem na mapce w książce „Jak budować cegielnię polowe”. Miałem ją akurat pod ręką. Nikt nie przypuszczał, nawet siostra, która spaliła później wiele niebezpiecznych papierów, że może być w niej tak ważny dokument. Dzięki temu zachował się do dziś.

Jednym z zaprzysiężonych był Mozdzeń. Podpisy złożyli wówczas przedstawiciele młodzieży z Tarnowa, Łodzi i Krakowa. Ustalono także znaki rozpoznawcze. Były w użyciu nie jeden raz. Przydały się i później podczas okupacji.

Przyjęcie Deklaracji zakończyło dyskusję i okres wahań, zwyciężyła lewica społeczna, powstała bliska i żywa idea tworzenia frontu młodzieży miast i wsi przeciw faszyzmowi.

„My — synowie i córki robotników i chłopów, synowie i córki inteligencji i rubieżnego mieszczaństwa, stanowiący 90 procent młodego pokolenia — padliśmy ofiarą gasnącego światła (...) staliśmy się tragicznym pokoleniem Polski”.

Ten fragment Deklaracji utkwił Mozdzeńowi bodajże najbardziej w pamięci. Ilekroć wspomina swoje długie życie, zawsze umieszcza się

w szeregu tego pokolenia. Fakt ten podkreśla z naciskiem.

— Kiedy matka zapisała mnie do szkoły — opowiadał harcerzom (spotkanie odbywało się w nowej komfortowo urządzonej Tysiąclacie w Kraczkowej) — słyszałem jak nauczycielka powiedziała: „O, z niego to będzie dobry uczeń”. Jak będę chciał, to przecież ode mnie zależy czy będę miał dwójki czy piątki — pomyślałem wówczas. Już wtedy jako mały chłopak buntowałem się. A kiedy skończyłem szkołę na samych bardzo dobrych, o kontynuowaniu nauki nie miałem nawet co marzyć.

Wiele razy zrywał się Mozdzeń do czynu. Często jednak bez powodzenia. Gdy nastąpił tragiczny dla Polski wrzesień podążył do Przemysła, aby w twierdzy bronić Polski.

— Ale na chłopski rozum — wspo- mina — niezbyt wierzyłem, że to się uda. Kilka lat wcześniej z cegły uzyskanej z rozbiórki części twierdzy budowałem szkołę w Oriach. U gospodarza pod Przemysłem czekałem na broń, którą miał mi dostarczyć jego syn — wpływowi i ustosunkowany wojskowy. Nic z tego nie wyszło. Zabrałem się więc do pracy razem z gospodarzem. Siłaliśmy żyto, a w pobliżu rozrywały się bomby, nad głowami krążyły niemieckie samoloty.

30 lat, które minęły, to doskonała okazja do konfrontacji i porównań. Wówczas, podpisując i przyjmując Deklarację walczone o pracę i chleb. Dziś inne potrzeby i zadania mają mieszkańcy Kraczkowej.

Kochają i szanują kraczkowianie ziemię. Może bardziej niż dawniej. Nie żałują sił, by dać jej jak najwięcej, a potem otrzymać ustokrotnione plony. Trudno byłoby chyba znaleźć w województwie wieś, która tak bardzo jak Kraczkowa przeżyła się melioracją.

W Kraczkowej pamiętają o zastu- gach Mozdżenia. Chłop tak się zaangażował w sprawy wsi — opowiadają, że nie miał czasu się... nawet ożenić. Kiedy przychodził do narzeczonej rozmawiał ciągle o betonach i cegle i to w dodatku z jej rodzicami. Wybranek sprzątnięto mu sprzed nosa. Dziś, co drugi chłopak ma motor, w kawalerkę pieszko nie chodzi, to i ożenić się łatwiej — dowcipkują.

Kraczkowa była przed laty miejscem działania organizacji ludowych. Podpisanie wspomnianej Deklaracji już przed 30 laty wytyczyło kierunek działania. Dziś oprócz koła ZSL coraz aktywniej działa wsi organizacja partyjna. Członkowie obu organizacji wspólnie z Kolem ZMW, które zalicza się do jednego z aktywniejszych w powiecie, wraz z całą wsią sa twórcami nowej historii swojej wsi.

KULTURA

Nowe sztuki polskich autorów

Repertuar naszych teatrów wzbogacił się ostatnio o nowe sztuki polskich autorów.

Kazimierz Barnaś jest autorem sztuki „Wykroń”. Jej akcja toczy się w kilkanaście lat po wojnie w małej, zagubionej wśród lasów miejscowości. Utwór stawia problem granic moralnej odpowiedzialności jednostki za czyny dokonane w tzw. dobrej wierze i w miarę nadrzędnych celów, porusza też zagadnienie jak dalece osobiste doznania człowieka mogą wpływać na jego stosunek do obiektywnej rzeczywistości społecznej.

W Ameryce Południowej, gdzie ukrywa się jeszcze wielu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych, rozgrywa się akcja sztuki Krzysztofa Chońskiego — „Alarm”.

„Ekspedycja” — to tytuł interesującej sztuki Artura Międzyrzeckiego. Akcja utworu rozpoczyna się na planecie CTA-21 o „bycie ciągłym”, a więc czymś w rodzaju nieba, do którego po śmierci dostają się ludzie. CTA-21 — to wielki hotel o nieskończonej ilości pokoi. Szef recepcji jest tu zarazem najwyższym władcą. Z planety Zet 44 — czyli Ziemi napływają tu stale nowe pułki wojsk...

Nowa sztuka Zygmunta Wojdana „Bakterie” o wątku sensacyjnym, ukazuje różne powikłania choroby zwanej znieczulicą społeczną, odróżniającej objawy cynizmu, karierowiczostwa, cwaniactwa i demoralizacji, które jak bakterie powoli, ale stale, w sprzyjających warunkach prowincjonalnego światka zatruwają organizm społeczny.

Akcja sztuki Henryka Bardijewskiego „Pustelnicy” rozgrywa się w dwadzieścia lat po drugiej wojnie światowej w grocie, zamieszkałej przez dwóch uzbrojonych ludzi, wio-

dących pustelnicy żywot. W utworze tym autor pragnie dowiedzieć, że od świata i jego spraw nie można się izolować, że odpowiedzialność i czynna postawa jednostki wobec spraw pokoju i wojny jest głównym problemem naszych czasów.

Nowa sztuka Edmunda Pietryka „Kto tańczy na wietrze”, której akcja toczy się w małym miasteczku, ma charakter społeczno-obyczajowy i nacechowana jest demaskatorskim zacięciem.

Antoni Cwojdzński — znany z licznych komedii, których tematem są współczesne teorie naukowe, w swej nowej sztuce „Sprzężenie zwrotne” sięgnął do cybernetyki. Z zainteresowaniem śledzimy zabawne perypetie „cybernetycznego małżeństwa”, zawartego za poradą mózgu elektronowego między wybitnym naukowcem a dziewczyną z nocnego lokalu.

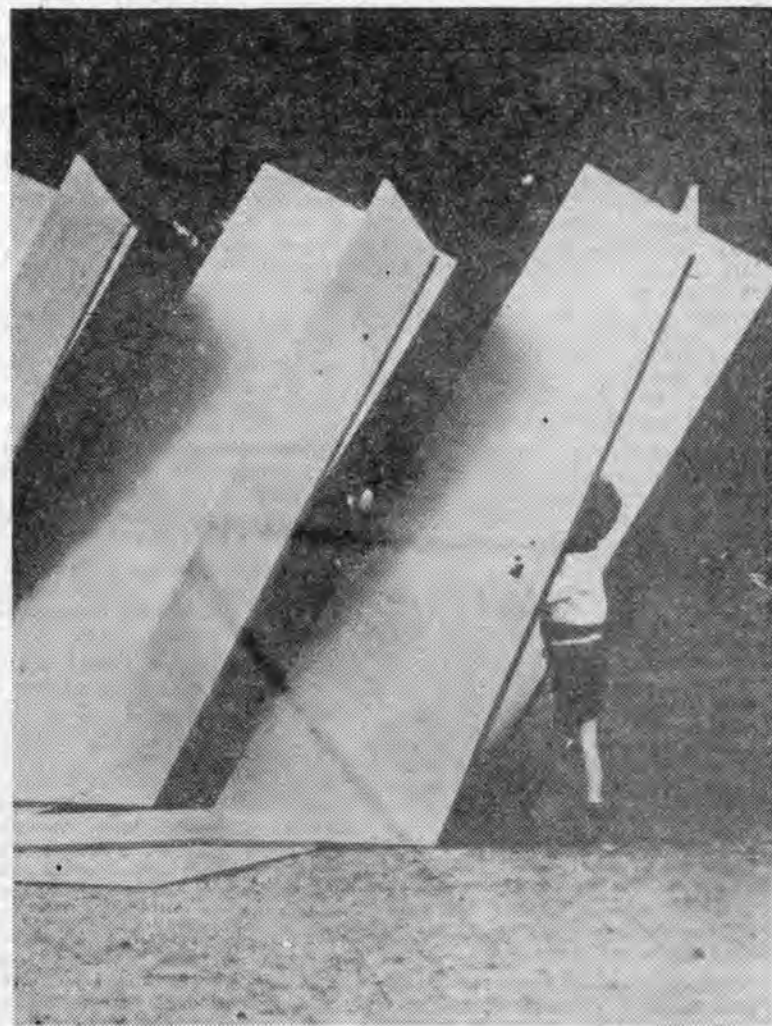
PIERWSZA WYPOŻYCZALNIA OBRAZÓW

Niezwykła galeria sztuki otwarta została 14 maja w Domu Kultury w Hawrze. Nie ma tu żadnego obrazu ani rzeźby na sprzedaż, wszystko natomiast można wypożyczyć. Odwiedzający wypożyczają obraz lub rzeźbę według swego wyboru, tak jak wypożyczają płytę lub książkę. Za 10 franków miesięcznie mieszkańcy Hawru mogą zawieść na ścianie swego mieszkania oryginalne dzieło Picassa, Chagalla, Matisse'a, Maksymalnego okresu, na który można dzieło sztuki wypożyczyć, wynosi trzy miesiące.

W londyńskim parku Battersea została otwarta doroczna wystawa rzeźby współczesnej pod gołym niebem. Wśród eksponatów wiele jest oryginalnych form przestrzennych, które z jednej strony budzą zainteresowanie miłośników sztuki, a z drugiej — stanowią nie lada atrakcję dla dzieci, które uznają, że teren ekscytrycznej ekspozycji jest... wybornym placem do zabawy w chowanego.

Na zdjęciu: znakomita kryjówka za rzeźbą Philipa Kinga zatytułowaną „Ukosi”.

B+Życie W-wy CAF—UPI



W KRAJU I NA ŚWIECIE

Trudny sezon teatralny w Paryżu

W dwóch kolejnych numerach „Le Monde” Claude Fleouter w artykule pt. „Trudny sezon teatralny” omawia kłopoty paryskich teatrów niesubwencjonowanych.

W sezonie teatralnym 1964/1965 na 102 wystawione sztuki tylko 8 poszczególnie mogło sukcesem. Wpływy kasowe zmniejszyły się o 30 proc. w porównaniu z sezonem 1963/1964. W tym roku teatry wystawiły 130 spektakli. Największe powodzenie miała parodia westernu („Du vent dans les branches de sassafras”) oraz wodewil („La Dame de chez Maxim”). 7 sztuk wycofano z repertuaru po miesiącu, jedna zaś, pióra laureata nagrody Goncourtów, pozostawała na scenie zaledwie 5 dni.

Sezon tegoroczny — stwierdza autor — który rozpoczął się wcześniej niż w latach poprzednich, był jednym z najtrudniejszych w dzie-

jach teatru francuskiego. Nie pomogły nawet próby ożywienia teatrów bulwarowych za pomocą wprowadzenia komedii muzycznych.

Z powodu trudności finansowych przestały istnieć w Paryżu dwa teatry — „Ambigu” i „Théâtre en Rond”, sytuacja kilku innych przedstawia się katastrofalnie.

Jednocześnie jednak — stwierdza autor artykułu — nigdy jeszcze teatr nie posiadał tak wielkiej mocy atrakcyjnej jak właśnie obecnie. Świadczą o tym dobitnie sukcesy odnoszone przez Vilara, powodzenie Théâtre National Populaire (T.N.P.), przepelniona widowiska w teatrze w Aubervilliers i na innych przedmieściach Paryża.

Teatr prywatny staje się przedsięwzięciem coraz mniej pewnym. Frekwencja na sali zależy od humoru widza, od dobrej lub złej pogody, rozwoju turystyki lub programu telewizyjnego.

Trochę lepsza jest sytuacja teatru rozrywkowego. Nigdy natomiast nie był rentowny teatr o repertuarze poważnym, lub też nastawiony na twórcze poszukiwania.

W jaki sposób zaradzić można kryzysowi teatrów prywatnych?

Przed wszystkim poprzez obniżkę podatków — odpowiada autor, które obecnie są niezwykle wysokie i progresywne.

Denis Maurey, przewodniczący syndykatu dyrektorów teatralnych, domaga się, aby teatry płaciły takie podatki, jakie obowiązują właścicieli sklepów lub księgarni. „Domagamy się — powiada, aby nowy podatek nie był progresywny i nie przekraczał 3 proc., bez względu na sukces lub fiasko przedstawienia”.

(Kt-PAP)

W IERSZE K. I. GAŁCZYŃSKIEGO po bułgarsku

Wydawnictwo bułgarskie „Narodna Kultura” w serii „Poezja współczesna” opublikowało ostatnio zbiór wierszy Konstantego Ildelfonsa Gałczyńskiego pt. „Serwus, Madonna”. Wszystkie wiersze na język bułgarski przełożył znany poeta Pyrwan Stefanow. Książka ukazała się pod redakcją Błagi Dymitrowej, autorki przekładu „Pana Tadeusza” na język bułgarski. Sylwetkę Gałczyńskiego nakreślił we wstępie znawca literatury polskiej, prof. Peter Dinekow.

W tej samej serii ukazały się poprzednio wybory poezji Władysława Broniewskiego i Juliana Tuwima.

60 LAT SUKCESÓW ADY SARI

Jedną z najsłynniejszych śpiewaczek swojej epoki — Ada Sari obchodzi obecnie podwójny jubileusz: 80 rocznicy urodzin i 60-lecia pracy artystycznej.

„Fakt pozostania śpiewaczką — wspomina artystka — zawdzięczać przede wszystkim swojej matce, która sama marzyła o deskach scenicznych, ale jej życzenie spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem rodziny. Nie mogąc zrealizować własnych marzeń, matka postanowiła, że jeśli jej córka wykaże jakiegokolwiek zdolności i zamiłowania w tym kierunku, to jej pomoże w osiągnięciu kariery śpiewaczki. W myśl tego postanowienia, od wczesnego dzieciństwa uczono mnie śpiewu i muzyki. Po nauce w kraju, wyjechałam na studia wokalne do Wiednia, a następnie do Mediolanu, gdzie spotkało mnie dość niemiłe przeżycie. Tamtejszy profesor po przesłuchaniu mnie, bynajmniej nie objawił entuzjazmu. Porównanie mojego głosu z brzękiem muchy wypadło na korzyść tego owada. Mimo tej negatywnej oceny, znakomity pedagog zgodził się jednak mną zaopiekować. Nie szczędziłam wysiłków, aby mistrz zmienił o mnie zdanie. Sądzę, że mi się to udało, po 2 latach bowiem od chwili owego niefortunnego porównania, tenże profesor wystawił mi opinię, dzięki której uzyskałam engagement do Teatro Nazionale w Rzymie. Tu właśnie zadebiutowałam w partii Małgorzaty w „Fauście” Gounoda.

Do chwili wybuchu II wojny światowej prowadziłam dokładną kronikę występów. Niestety, wszystkie notatki zaginęły. Mogę jednak z całą pewnością stwierdzić, że objechałam sama lub z różnymi zespołami operowymi, m. in. z mediolańską „La Scala”, prawie całą Europę, śpiewałam w Turcji, w Ameryce Północnej i Południowej. Najzabawniejszą przygodą przytrafiła mi się w Warszawie, gdzie w czasie przedstawienia „Lucji z Lammermooru” Donizettiego w Teatrze Wielkim zachrypiłam i trzeba było odwołać dalszy ciąg spektaklu.

Na scenach operowych i estradach koncertowych miałam okazję występować z tak wielkimi dyrygentami, jak Toscanini czy Kuszewicki, jednym z moich partnerów był Beniamino Gigli. Brałam też udział w koncertach razem z muzykami tej miary, co Backhaus, Casals czy Kreisler.

Obecnie praca pedagogiczna, której się poświęcałam przed kilkunastu laty, daje mi nie mniejszą satysfakcję niż dawne występy u boku różnych znakomitości. W gronie moich uczniów, a mam ich już setki, znajdują się artyści, z których jestem dumna. Ostatnio np. cieszą mnie sukcesy Bogny Sokorskiej”.

(Rozmawiała Hanna Frenkiel Kt-PAP)



Z racji Spotkań Teatralnych przez nieco więcej niż połowę tygodnia oglądałam programy najwcześniejsze i, jeśli sędzić, że oglądając „Misia z okienka” czy „Przygody nad rzeką” nudziłam się — to się bardzo mylicie. Daj, Opatrzności, nam dorosłym, tak przygotowane programy, gdzie na ogół nie zdarzają się niedociągnięcia, gdzie poważnie traktuje się widza, gdzie widać wyraźną troskę o dostarczenie mu przyjemności, rozrywki oraz chęć nauczania go czegoś! To są widowiska, jeśliśmy przy teatrze dla dzieci, znakomite, opracowane w szczegółach, w didaskaliach, reżyserowane przez znawców; jeśli kukielki — to plastycznie piękne, przy tym z aktorami o świetnej dykcji, jeśli „Ula z II b” — to Wilkowski sprawnie przemyślnie swoim tekstem i grą zarówno młodym, jak i starszym, jeśli „Mia z okienka”, którego tytuł awansował podobno jako przewodnik warszawskich taksówkarzy — safandulów, to najwspanialszy tekst przecież jest szkołą taktu i wychowania najmłodszych. A teraz cała gama filmów rysunkowych; recenzje dla najmłodszych — jako stała pozycja miesięcznika „Zrobimy to sami” — jako wybór najbardziej pomysłowych w migracji latwych w realizację, przy tym ze znawstwem technicznym podsuwanych! Audycje z fizykiem, na których uczą się mamy i tatowie, ci, co to w czasach młodości lekceważyli prawo Archimedesa, świetne „Spotkania z przyrodą”, które Hanna Dobrowolska prowadzi tak, jak Irena Dziedzica, która pochłaniała gros pieniędzy, która wydając je, czyni to w bardzo sensowny i bardzo efektywny sposób. Jest to jedna z sześciu redak-

cji polskiej telewizji, pracująca planowo, stale i myślnie, że jedna też, poza teatrem, do której nie można mieć żadnych pretensji.

Z dwóch teatrów ubiegłego tygodnia przy pierwszym, a myślę o katowickich „Awanturach w Chiołgi” Gdoniciego, było dużo krzyku, niestety, nie wytykającego z dobrego aktorstwa i dobrze przyswojonych pojęć o włoskim temperamentcie, a także niezbyt dużo wrażeń o dobrej zabawie, jaka przy okazji tej komedii, oparta na wzorach dell’arte być powinna; przy drugim — „Powrocie do Lizbonu” Günthera Eichera w reżyserii Bohdana Trukana powstało nieco refleksji nad celowością takich spektakli w teatrze TV. Mam sporo zastrzeżeń wobec samej sztuki, opartej na bardzo patetycznym dialogu, nie nadzwyczajnie porządkiem zasadniczym prawom dramatu — wzrostowi napięcia i zwięzłej klarowności. Wychođząc jednak z założenia, że nie możemy stale żądać arcydzieł, może i byłaby ona do przyjęcia, gdyby reżyser poszedł na czytelną koncepcję podania i tak dość zawiątego tekstu, nie próbował uduziwiać i tak niecodziennej historii miłości damy dworu portugalskiego Catarina de Atajade, do wielkiego poety XVI-wiecznego, u nas zupełnie nie znanego — Camoensa. Przedstawienie bowiem utrzymał on w stylu, na pewno jednolitym, bardzo poetyckim, ale, niestety, właśnie ta poetyckość ujawniła wszystkie słabe strony samej sztuki. Rozbijala, i tak nudzący dźwiękami, spektakl na pojedyncze sceny, podpowiadała Ninie Andrycz aktorstwo koturnowe, z którego aktorka wychodziła zwykłego tylko tam, gdzie dialog nabierał ostrości, był zwarty, szybki i celny (mam na myśli piękną scenę rozmów z marszałkiem dworu, którego grał świetnie Białoszczyński). Najpiękniejsze w tym spektaklu pozostały tylko sonety Camoensa, pierwszy raz tłumaczone na polski, mówione przez Holubka (i to jak mówione!), stanowiące rzeczywiście poetyckie intermedia.

Poza tym przypomniał mi ten spektakl atmosferę „Panny Rosjki” Federico Garci Lorki; z tą różnicą, że tam autorem był antyczny dramatopisca, który mimo tę doskonałość i tak nie sprawdził się na małym ekranie. Historia „Panny Rosjki” nie dała bowiem powodu do zachwytów. Wydaje mi się, że szczególnie analizy wymaga ten typ repertuaru, że nie zawsze można kierować się przekonaniem, iż mały ekran doskonale poradzi sobie z dramatem kameralnym, psychologicznym czy poetyckim.

W ogóle ostatnio telewizja zaczyna sobie poczynać z teatrem dość dziwnie; dostajemy sztuki małoobsadowe (czyżby oszczędzała?), mnoży się od telerecordinguowych wspaniałych (przeciw którym nie mam w zasadzie nic, byle były sensownie pomyślane i w odpowiednich proporcjach podawane), i na dobrą sprawę nie oglądaliśmy dość dawno spektaklu poniedziałkowego, który byłby wydarzeniem.

Krytyka

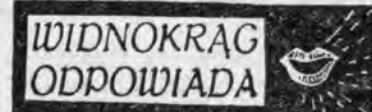
P. S. Coraz lepszemu programowi z kobietą w tytule (Irene i inne) Kydryńskiego, należą się osobne słowa uznania, amerykańskie ballady brzmiały pięknie i przekonująco, jest istniejący folklor teksaski oraz kanadyjski; demoniczna zaś Elkana dysponuje głosem pieśniarki jazzowej i jest jego idealną odtwórczynią.

K.

Jest to eksperyment bez precedensu. Wprowadził go Marc Netter, dyrektor Domu Kultury, by znieść barierę, która oddziela we Francji publiczność od sztuki współczesnej. Wystawy (w Hawrze odbywa się co najmniej jedna na miesiąc), na których widz zatrzymuje się najwyżej 2—3 minuty przed każdym obrazem, nie wystarczają, by wzbudzić uczucie zażyłości, z której rodzi się miłość do sztuki. Ażebym kołhać dzieło sztuki, trzeba z nim współżyć.

Eksperyment w Hawrze wywołal ogólne zainteresowanie. Do Domu Kultury napływają liczne prośby o wypożyczenie dzieł sztuki. Około 300 artystów plastyków i kilkanaście galerii ofiarowało się przekazać do Domu Kultury w Hawrze, na okres minimum jednego roku, 400 obrazów, rzeźb, szychów lub rysunków.

Organizatorzy imprezy zdają sobie sprawę z trudności. Wypożyczanie dzieł sztuki łączy się też z ryzykiem uszkodzenia go. Aby temu zapobiec, obrazy będą instalowane w mieszkaniach i zabierane przez ekipy specjalistów. Ponadto wypożyczający otrzyma praktyczne wskazówki, dotyczące wpływu światła, ciepła i wilgoci.



Monika F. w G.: Istotnie nie jesteśmy zachwyceni wierszami, jak słusznie Pani przypuszczała. Są to utwórki bardzo naiwne i zbyt osobiste, by można je traktować jako poetyckie. Można chłopcu to samo powiedzieć, bez rymów i bezpośrednio. Nie radziemy się ludzi, że może Pani coś osiągnąć w poezji.

Sł. B. — Stałowa Wola: Wiersz „Zwąpienie” nie nadaje się do druku. Mimo pozorów „nowoczesności”, zbyt dużo w nim banału poetyckiego i konwencjonalizmu. Zwroty takie jak „zgliszczą marzeń, strzała zatruta, przeklęta purpura, całun, zemsta miotająca przekleństwa” są zbyt wyłarte w użyciu, by mogły wruszać.

S. Z. — Mielec Osiedle: Nie skorzystamy. Wiersze są niestety przejawem pasji wierszowania, a nie talentu. Nie można budować wiersza z samych wykrzykników lub z samych rzeczowników z przymiotnikami. Np. „obraz pedzla sadysty, amnesia dla furii, noc czarna bestia, semafor bezlistosny” (wiersz: „Widok”), lub „Dębowe drzewo Bartka, nieugięty szczybiec, ptak — lew broniący gniazda, wspaniała muza”) itd. (wiersz „Tysiącletnia”). Nasz język jest o wiele bogatszy niż się panu zdaje, a język poezji musi być szczególnie bogaty.

E. K. Brzyska Wola, Ch. A. — Plawa pow. Mielec: Nie będziemy drukowali. Utwory nadesłane nie mają wartości artystycznych.



MIECZYSLAW LYŻWIŃSKI: Nowe napedy raketowe. W-wa 1966. Wyd. MON s. 295, cena zł 24.
Jest to naukowo-techniczny informator, dotyczący problemu konstrukcji silników raketowych o przeznaczeniu astronautycznym. Przeznaczony dla inżynierów, techników i studentów uczelni technicznych, może również zainteresować szerszy krąg czytelników, którzy znają podstawy fizyczne klasycznych silników raketowych.

ADAM KERSTEN: Siemkiewicz — „Poptop” — Historia. W-wa 1966. PIW s. 299, cena zł 16.

Obszerna praca konfrontująca siemkiewiczowską powieść z epoką historyczną, z której wyrosła. Toteż znajdziemy tu zarówno studia historyczne nad najzwyklejszym szwedzkiem, jak i analizę zamysłu twórczego autora „Poptopu”, oraz dzieje sporu o historyczność powieści.

MIKOŁAJ DUBOW: Wyspa strachów. W-wa 1966. Iskry s. 250, cena zł 13.

Nowa powieść radzieckiego dziennikarza, dramaturga i autora kilku książek dla młodzieży. Również w „Wyspie strachów” bohaterami są kilkunastoletnie dzieci, które przeżywają niezwykłą przygodę wakacyjną.

WANDA TELAKOWSKA, TADEUSZ REINDL: Problemy wzornictwa przemysłowego. W-wa 1966. PWN s. 149, cena zł 10.

Nowa pozycja Współczesnej Biblioteki Naukowej „Omega”, zajmująca się całokształtem działalności prowadzącej do określenia tych cech wyrobów przemysłowych, które odpowiadają rozwojowi kulturalnemu społeczeństwa. W pierwszych rozdziałach znajdujemy pewne wiadomości z prehistorii wzornictwa oraz o początkach tej sztuki w Polsce Ludowej.

STEFANIA SEMPOŁOWSKA: Na ratunek. W-wa 1966. Iskry s. 288, cena zł 13.
Opowieść o katastrofie ekspedycji polarnej zorganizowanej przez Włocha Nobilego w 1928 roku. Ludzie z całego świata dają różnymi środkami lokomocji na ratunek zagubionym wśród lodowej pustyni rozbitkom.

Autorka jest znana działaczką społeczną z okresu rewolucji 1905 roku i dwudziestolecia międzywojennego.

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ: Tiergarten. Powieść z lat 1939—1945. W-wa 1966. KIW s. 402, cena zł 25.
Znany pisarz relacjonuje działalność polskiego wywiadu przed i w trakcie II wojny na terenie Niemiec.

Ciekawe fakty kontaktów polskich wywiadowców z Japończykami.

WILIAM KOZŁOW: W pogoni za szczęściem. Przel.: Z. i St. Głowiakowie. W-wa 1966. Iskry, s. 304, cena zł 15.
37-letni dziennikarz radziecki tworzy głównie literaturę dla dzieci. „W pogoni za szczęściem” jest jego pierwszą książką „dla dorosłych”, omawiająca życie współczesnych ludzi radzieckich.

VERA CASPARY: Laura. W-wa 1966. Iskry s. 198, cena zł 20.
Powieść kryminalna amerykańskiej autorki z serii „Klubu Srebrnego Kluczyka”. Czyta się.

HEINRICH BOLL: Kiedy wojna wybuchła, kiedy wojna się skończyła. Dwa opowiadania. Tł. z niem. Teresa Jętkiewicz. W-wa 1966. PIW, s. 32, cena zł 10.

Biblioteka „Jednorożca”. Ten dyptyk zachodniemieckiego pisarza traktuje o wojnie, jej moralnych i społecznych skutkach.

LESŁAW GRZEGORCZYK: Wpływ wibracji przemysłowej na człowieka. W-wa 1966. Powielono w Dziale Poligraficznym Instytutu Organizacji i Mechanizacji Budownictwa, s. 105, cena zł 32.

Praca znanego rzeszowskiego lekarza będzie przydatna dla ludzi zajmujących się zagadnieniami przemysłu z medycznym punktu widzenia. Obszerna bibliografia przedmiotu.

IWAN JEFREMOV: Mgławica Andromedy. W-wa 1966. Iskry, przekł. Lew Kaltenbergh, s. 290, cena zł 20.
Powieść fantastyczno-naukowa, której akcja toczy się w odległej o 2 tys. lat przyszłości. Nowatorstwo i śmiała próba zażrnięcia w przyszłość społeczeństwa.

Zagadka IIIowie planety. Opowiadania fantastyczne. W-wa 1966. Iskry s. 315, cena zł 12.

13 opowiadań siedmiu autorów radzieckich z dziedziny naukowej fantastyki zawiera sporo sensacji i humoru.

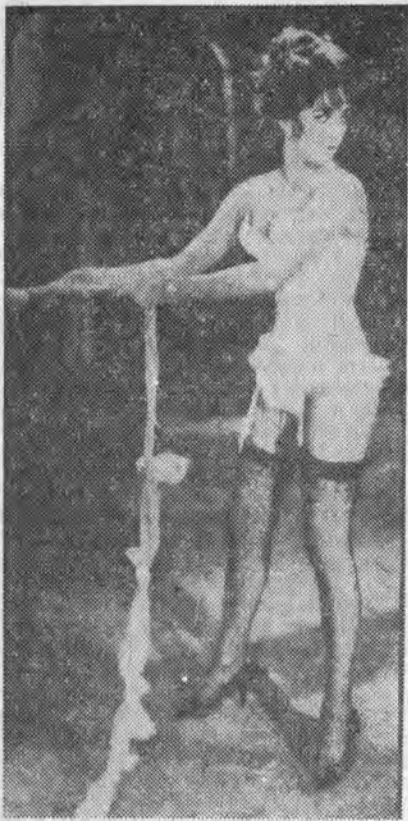
Z. SŁOMKOWSKI, L. ZAREBA: Laotańska opowieść. W-wa 1966. KIW, s. 259, cena zł 18.
Poprawka z historii: W sprawie oredzia biskupów polskich, do biskupów niemieckich pisza: prof. dr K. Grzybowski, prof. dr M. Zychowski, prof. dr A. Gieysztor, prof. dr S. Suchodolski, S. Krzemien, prof. dr J. Bardoch, S. Markiewicz, J. Koberdowa, W. Waszat, M. Rostworowski, A. Rogalski, W. Mysłek, prof. dr S. Kuczyński, H. Mach, J. Zaborowski, A. Pawłowska, prof. dr A. Klafkowski, W-wa 1966. Iskry, s. 200, cena zł 5.
A. KUCZYŃSKA, J. KUCZYŃSKI: Humanizm socjalistyczny. W-wa 1966. Iskry, s. 202, cena zł 10.

Na naszym ekranie

NATALIE WOOD

Amerykańskie pismo uniwersytetu w Harvard „The Harvard Lampoon” za najgorszą aktorkę roku 1965 uznało 28-letnią Natalie Wood, którą w Polsce znamy z filmu „Romans z nieznajomym” Roberta Mulligana. Ocena studenckiej gazety nie zastugiwałaby na większą uwagę, gdyby nie to, że Natalie Wood, jak dotąd ma u producentów hollywoodzkich doskonałą markę i znajduje się u szczytu kariery, którą rozpoczęła... 24 lata temu.

Nazywała się wówczas Natasza Gurdin, była dzieckiem rosyjskich



szą jej rozgłos filmy „Splendor in the Grass” oraz słynna „West Side Story”. Natalie wchodzi do czołówek gwiazd Hollywoodu. W wieku 25 lat ma za sobą 35 filmów, jest milionerką i właścicielką wytwórni filmowej.

Czy jest rzeczywiście dobrą aktorką? Pewne jej role (choćby z wymienionych wyżej filmów) świadczą, że tak, ale nawet jej przyjaciele twierdzą, że sukcesy te byłyby niemożliwe, gdyby nie znakomici reżyserzy, którzy krecili te filmy. Był czas, że jej kariera, mimo wszelkich wysiłków aktorki i jej agentów reklamowych, znalazła się w niebezpieczeństwie. Wtedy zjawiał się słynny reżyser Elia Kazan i zaangażował Natalie do „Splendor in the Grass”. Gdyby nie sukces w tym filmie aktorka nie zagrałaby w „West Side Story” czy „Romansie z nieznajomym”. Ale przecież najlepszy reżyser nie wykrzesaliby nic z beztalencją!

Wiele amerykańskich gazet kreuje Natalie Wood na następczynię Liz Taylor. Sama aktorka nie zabiera na ten temat głosu i jedynie kiedy ktoś próbuje porównywać ją z odwróconymi rolami Kleopatry — odpowiada: — „Och, nie, to nie ten kierunek i droga”. Liczba jej entuzjastów ani wśród publiczności, ani wśród producentów nie maleje.

A „The Harvard Lampoon”? Och, towarzyszem Natalie Wood na czarnej liście tego czasopisma jest Marlon Brando, poprzednikami zaś tej pary byli tacy „kiepscy” aktorzy, jak Audrey Hepburn, Gregory Peck, Kirk Douglas, John Wayne, James Stewart i inne sławy, którym opinia studentów w niczym nie zaszkodziła, a być może zmobilizowała do większych starań.

(w. s.)

emigrantów. Matka, czynna działaczka amatorskiego ruchu teatralnego, marzyła o karierze aktorskiej dla córki i w 1942 roku wciśnięła 4-letnią Nataszę do filmu. Mała pokonała konkurencję tłumy rówieśniczek i zagrała w filmie „Happyland”, a później w następnych. Szczupła dziewczynka o oczach koloru kawy i spiczastym pyszczku czuła się przed kamerą tak swobodnie, że producenci powierzyli jej coraz większe role. Już przy „Happylandzie” zmieniono jej nazwisko na Wood i zamerykanizowano imię. Mając lat osiem Natalia była cudownym dzieckiem zarabiającym ponad 4 tysiące dolarów miesięcznie. Gra z Claudette Colbert, z Orsonem Wellesem (O. W.: — Ona jest okropna!), jej filmy reżyserują czołowi reżyserzy.

Mijają lata i cudowne dziecko przeobraża się w smukłą, szczupłą pannę. Czym być w życiu? — Oczywiście tylko aktorką! Ze to nie takie proste! Natalie nie zwykła opuszczać rąk. Uczęszcza do słynnego Warner's studio, nie zaniedbując jednocześnie żadnych środków, które zapewniłyby jej popularność. Pokazuje się często w towarzystwie Jamesa Deana, flirtuje ze słynnym potentatem hotelowym Hiltonem (od którego tylko co odeszła Liz Taylor), nierzadko widać ją na tylnym siedelku motocykla Elvisa Presley'a. Mając 19 lat wychodzi za mąż za aktora Roberta Wagnera, a ceremonia ślubna jest wielkim, pełnym rozmachu spektaklem reklamowym. Matężstwo nie trwa długo, przychodzą nowe flirta i rozwód. Kiedy któryś z dziennikarzy pyta o jej romanse, zauważając z przekąsem, że niejedną z partnerów mógłby być jej ojcem, Natalie odpowiada cynicznie:

— Well, nie jestem aniółkiem z bożonarodzeniowego drzewka. I nigdy nie chodziłabym z chłopczykami ze szkółki.

Natalie osiąga swój cel. Jej nazwisko nie opuszcza szpalt bulwarowych pisemek, o skandalach, jakie urządza, o jej flirtach czytają miliony ludzi. Jest popularnym kociakiem Hollywoodu. Każdemu jej filmowi towarzyszy jakiś reklamowy „wycieczny”. Amerykańskie nastolatki obojga płci szaleją na dźwięk jej nazwiska.

Gra z Jamesem Deanem w „Rebel without a Cause”, jest to jej pierwsza „dorosła” rola. Później przyno-



EDWARD SLAWIK — członek zespołu „Meluzyna” w Rzeszowie
Tys. J. SIENKIEWICZ

Zdarzenia tygodnia

5 bm. w Tarnobrzegu odbyły się eliminacje wojewódzkie młodzieżowego teleturnieju, organizowanego pod hasłem „1000 lat Polski nad Bałtykiem”.

Największą ilość punktów zdobyli: Jan Juchno z Lic. Ogólnokształcącego ze Stalowej Woli, Władysław Sochacki, Lic. Ogólnokształcącego Rzeszów i Stanisław Płus z Lic. Ogólnokształcącego ze Stalowej Woli. Wezmą oni udział w eliminacjach międzywojewódzkich, na których wyłonione zostaną 3 drużyny na eliminacje centralne. Imprezy organizowały Kuratorium Okręgu Szkolnego i ZW Ligi Obro. ny Kraju.

Do Łodzi wyjechała 14-osobowa grupa pracowników kulturalno-osiawotowych (organizatorzy szkolenia w PDK i powiatowych ośrodkach instrukcyjno-metodycznych).

Podczas dwutygodniowych zajęć, zorganizowanych przez Departament Pracy Kulturalno-Oświatowej i Bibliotek Min. Kultury i Sztuki, zapoznają się oni z programem przyszłych szkoleń dla wiejskiego aktywu k.o.

5 bm. podczas obrad VI Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej Zarządu Okręgu Zw. Zaw. Prac. Państw. i Społecznych czynna była wystawa prac amatorów plastyków i fotografików — płon konkursu pt. „Praca, wypoczynek i rozrywka”, ogłoszonego dla członków tego związku.

Teatr Słowa ZDK rzeszowskiej WSK „Meluzyna” zajął trzecie miejsce na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji K. J. Gałczyńskiego w Szczecinie. Jest to dość poważne osiągnięcie tego zespołu, gdyż w festiwalu uczestniczyło ponad 40 zespołów tego typu, reprezentujących wysoki poziom. Recytatorka indywidualna z Mielca Aleksandra Głapa otrzymała wyróżnienie.

Nowa premiera „Kacperka”

W ubiegły poniedziałek w sali WDK w Rzeszowie odbyła się kolejna premiera Teatru Lalki i Aktora „Kacperka”. Bardzo licznie zgromadzona młodzież publicznie głośno wyraziła swe zadowolenie z przedstawionej bajki Stanisława Iwoskiego pt. „Miś Kurpik”. Nawet starszym mogły się podobać przezabawne perypetie małego niedźwiadka i jego opiekuna — myśli-

wego. Dzieci, które nie widziały „Kurpika” zachęcam do wyszukania w afiszach terminu następnego przedstawienia.

Bajkę wyreżyserowała Maria Siedmiograj, scenografia Jerzego Radwanika, muzyka Zbigniewa Jeżewskiego. Lalki i dekoracje wykonano w pracowni Teatru pod kierunkiem Romany Stojakowskiej.

DWUTYGODNIK
POŚWIECONY
DĘBYŻAJOM
SARMATÓW



REDAGUJE
E. GAJEWSKI
RYSUJE
J. SIENKIEWICZ

ALBOSMY TO CACY, CACY...

Frontem do przyrody

Rada zakładowa naszych zakładów w ramach troski o potrzeby duchowe i fizyczne załogi wystąpiła z piękną inicjatywą: „Walki o zdrowie świata pracy”.

Apel nie pozostał bez odpowiedzi. Redaktor Naczelny gazetki ścienniej Ob. Nuda już na drugi dzień skrobnał okolicznościową kobyłę pt. „Obywatele oddychajcie tylko świeżym powietrzem”. Inicjatywę poparły także organizacje społeczne, których członkowie wykonali honorowo różne hasła, jak: „Frontem do przyrody!”, „Spacer to zdrowie!”, „W góry, w góry miły bracie!”. Również w ramach walki... Obywatel Pietruszka wygłosił referat pt. „Odpoczywaj na łonie przyrody, w prawdziwym miejscu wytchnienia”.

Walka o zdrowie w naszym zakładzie wyraźnie się zaostriżyła po wystąpieniu Ob. Kowalskiego.

— Dałem się przekonać i chcę na łono przyrody!

W tej sytuacji zabrał głos sam prezes rady zakładowej, podkreślając, że stanowisko Ob. Kowalskiego jest dowodem twórczego oddziaływania żywego słowa i propagandy wizualnej. Nie należy się dziwić, że projekt 2-dniowej wycieczki w Bieszczady został przyjęty z gorącym aplauzem.

W piątek w zakładzie panowała atmosfera gorączkowego podniecenia. Można rzec, że niektórzy obywatele mieli wyraźną „Reisefiber”. Referent gospodarczy od rana załatwiał autobus, a prezes rozdziwonił się w sprawie noclegów i wyzerki.

W sobotę wyjechaliśmy z pewnym opóźnieniem, od nas niezależnym, i w niepełnym komplecie. Autobus okazał się niecałkiem sprawny, a niektórym amatorom zdrowego powietrza zaszyły nieprzewidziane okoliczności. Mimo to optymizm nas nie opuszczał i wyjechaliśmy z miasta ze śpiewem na ustach: „Lato, lato...”

W Sanoku obiad w miejscowej restauracji zabrał nam aż 2 godziny. Kierownik wycieczki aż zachrypl od wykrzykiwania.

— Proszę wycieczki wsiadać, jedziemy dalej! W Myczkowcach okazało się, że jesteśmy poważnie opóźnieni, mamy tylko 10 minut czasu. Zdjęliśmy więc odświętne marynarki i zaczęliśmy moczyć nogi w Zalewie. — Co za ulga — gdy doniosły głos kierownika wytrącił nas z błogiego stanu.

— Proszę wycieczki, wsiadać jedziemy dalej!

W autobusie było niemożliwie duszno od kurzu, który przedostawał się przez nieszczelne drzwi, aż zaschło w gardle. Zwłaszcza tym na końcu wozu trudno było wytrzymać. Poniekąd zaczęli sobie cośkolwiek przepłukiwać gardziółko, co wyraźnie wpłynęło na poprawę samopoczucia całego kolektywu. Zaintonowaliśmy pieśń: „Jak dobrze nam zdoberwać góry”.

W Ustrzykach były jakieś trudności noclegowe, które z samozaparciem przewyciężyliśmy. Nie będę relacjonował dnia drugiego, poza trasą nie odbiegał od pierwszego. Wróciliśmy do miasta z wielkim zaniem na przyrodę i ze śpiewem „Góralu czy ci nie żal”. Niektórzy tak się nalykali świeżego powietrza, że odurzyło ich na amen i mieli pewne trudności przy wyjściu z autobusu.

Na drugi dzień wybuchła chryja. Okazało się, że kilku aktywistów z pierwszej linii walki o zdrowie świata pracy, nalykało się za dużo powietrza i łono przyrody wyraźnie im zaszkodziło. Problemem tym poświęcone zostało nadzwyczajne zebranie rady zakładowej. Na wniosek kol. Kapuścińskiego postanowiliśmy zakupić motocykle, aby ludziom pracy ułatwić niedzielny wypoczynek w pobliskich miejscowościach wczasów niedzielnych np. Babica — zdrój. Cóż prostszego, wsiadzie sobie obywatel pracujący na stalowego rumaka, na drugim siedelku — żona, narzeczona czy kociak, da gazu i hejże na łono...

Doszło jednak do pewnych rozbieżności zdań przy decyzji, jakiej marki zakupić motocykle? Kawalerski duch nie ginie jednak w narodzie. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na „Junaki”. Wiadomo 350 ccm, a „Polak musi”.

Niedawno nadeszły motocykle. Z tej okazji odbyło się nadzwyczajne zebranie rady zakładowej, wszyscy byli zgodni, że motocykle — nie ma powodów ignorować danych statystycznych — to pozajad samobójców przy naszych narodowych skłonnościach i temperamencie. Ponieważ nie mamy prawa narażać ludzi pracy, profi laktycznie motocykle rozdzieliliśmy między siebie i tak zakończyliśmy zwycięsko ostatni etap walki o zdrowie dla świata pracy. Gdyby jakiś zakład chciał skorzystać z naszych cennych i wspaniałych doświadczeń na tym odcinku, to korespondencję prosimy kierować pod adresem: Zakład Drobiarsko-Jajczarski w Dębicy.

